

Valéry, Gide, Zweig, Kassner: Wspomnienia o Rilke

Spośród rzadkich osobowości, które znałem, najbardziej uwodzicielski i najbardziej tajemniczy był dla mnie Rilke. Jeśli słowo „magiczny” ma jakikolwiek sens, powiedziałbym, że całą jego osobą, jego głosem, jego spojrzeniem, jego manierami, wszystko w nim składało się na wrażenie obecności magicznej – wspominał Rainera Marię Rilkego Paul Valéry.

Paul Valéry

Rilke, drogi Rilke, dzięki któremu moje wiersze brzmią w nieznanym mi języku – wszystko zmówiło się, żeby pozbawić mnie wolnego czasu, nieomal też siły, aby należycie powiedzieć, co myślę o Tobie. Chciałbym mieć do dyspozycji łaskę, jaką dają czas oraz spokój. Te wielkie dobra zostały mi odebrane. Różnorakie demony walczą ze sobą o substancję moich godzin.

Czy pamiętasz, jak bardzo zadziwiła mnie Twoja skrajna samotność, w jakiej zastałem Cię, gdy się poznaliśmy? Przejeżdżałem obok, a Ty zatrzymałaś mnie podczas podróży do Włoch i na kilka godzin mnie ugościłaś. Mała zamek, strasznie odosobniony w rozległym i smutnym regionie górskim; staroświeckie, melancholijne pokoje, ciemne meble, wąskie okna: zabolowało mnie serce. Moja wyobraźnia mogła jedynie usłyszeć w Twym wnętrzu nieskończony monolog

zupełnie odizolowanej świadomości, której nic nie odciąga od samej siebie i od poczucia swej wyjątkowości. Nie mogłem pojąć tak odrębnego istnienia, tych wiecznych zim w zupełnej zażyłości z ciszą, tak wielkiej swobody przeznaczonej Twym snom, aż nazbyt skondensowanym, esencjonalnym duchom czytanych książek, kapryśnym geniuszom pisania, potędze pamięci. Drogi Rilke, wydałeś mi się zamknięty w czystym czasie, bałem się, że transparencja nazbyt jednostajnego życia na przestrzeni tych wiecznie podobnych dni pozwoli Ci ujrzeć śmierć w całej wyrazistości. Jak prostoduszne było moje współczucie, podczas gdy Twoja myśl stwarzała z tej pustki cuda, czyniąc czas brzemienным! Przede wszystkim godna zazdrości jest Twoja siedziba wraz z jej niską wieżą, zaczarowaną wieżą Muzot. Ten niesamowity spokój, ta potęga ciszy zdają mi się teraz tym, czym wówczas były dla Ciebie: wyśmienitymi okolicznościami. Gdyby jakimś cudem zostały mi teraz dane, niewątpliwie byłbym w stanie wykonać słodkie dzieło odmalowania słowami zachwycającego kształtu Twej duszy. Nie znam jej najpiękniejszych i najsłynniejszych dzieł. Pomimo mojej niewiedzy wróżę, co ją czeka, dostrzegam jej głębię, przeczuwam jej bezbrzeżny rezonans; nic nie jest dla mnie droższe niż jej czuła przyjaźń, przepojona tajemniczą delikatnością, która jest w Tobie.

P. Valéry, *A Rainer Maria Rilke*, w: *Reconnaissance à Rilke*, Cahiers du mois 1926 nr 23-24

Spośród rzadkich osobowości, które znałem, najbardziej uwodzicielski i najbardziej tajemniczy był dla mnie Rilke. Jeśli słowo „magiczny” ma jakikolwiek sens, powiedziałbym, że całą jego osobą, jego głosem, jego spojrzeniem, jego manierami, wszystko w nim składało się na wrażenie obecności magicznej. Można rzec, że potrafił nadać potęgę uroku każdemu ze słów, jakie wypowiadał. Być może dlatego właśnie często

zdawał mi się tak różny ode mnie i czasem tak trudny do zrozumienia. Niewątpliwie rozwinął swą myśl w kierunku przeciwnym do tego, który ja obrałem i którego się od dawna trzymałem. Być może jest to kwestia pochodzenia? Zachował wspomnienia z dzieciństwa i okresu dojrzewania o wiele bardziej namacalne i głębokie od moich, a były one dla niego czymś zawsze tak żywym, że jego dojrzała już duchowość była nimi zupełnie przeniknięta. Jego piękne oczy widziały to, czego ja nie dostrzegałem: wskazówki, omeny, międzywiersze, znaczące koincydencje, sygnały, by działać lub się powściągać — widział je w wydarzeniach, do których mało kto przywiązywałby jakiegokolwiek znaczenie. Nie powtórzę historii, którą mi opowiedział o ostatnim z księżną królewskiej krwi na granicznej stacji kolejowej. Gdy pociąg bezgłośnie ruszył z miejsca, łagodnie porywając tę wzniosłą i bladą osobę, ona, stojąc w drzwiach ostatniego wagonu, zakresliła w powietrzu dziwny ruch ręką, w czym Rilke dostrzegł pożegnanie absolutne, którego nic nie zapowiadało. Rychła śmierć potwierdziła, że miał rację.

*Coś nas do siebie przyciągało,
choć zarazem dzieliła nas
niezwykła różnica, wręcz
transcendentna, o której już
mówiłem. Ostatecznie jednak
byliśmy obaj „dobrymi
Europejczykami”*

Trzydzieści tygodni przed jego odejściem spędziliśmy razem niemal cały dzień nad brzegiem Jeziora Genewskiego. W parku należącym do przyjaciela, gdzie go ugościłem, rozmawialiśmy

całymi godzinami, spacerując. Właśnie ukończył niemiecki przekład mojego poematu o Narcyzie. Odczytał go kilku przyjaciołom w Lozannie i powiedział, że był z niego bardzo zadowolony. Odparłem, że

jest mi przykro, iż nie jestem w stanie zrozumieć jego języka, a wielkie szczęście, jakim jest bycie tłumaczonym przez takiego człowieka jak on, musi niestety pozostawać dla mnie źródłem abstrakcyjnej radości, gdyż jedynie za pośrednictwem pogłoski jestem w stanie docenić się wysiłek, jaki poświęcił memu dziełu. Następnie rozmawialiśmy na temat Narcyza, który jest najprostszym z możliwych dramatów. Niecałe dwa miesiące później nadszedł fatalny telegram z kliniki w Valmont. Wciąż jeszcze miałem w pamięci, jak odpływał małym bocznokołowcem, który uderza łopatkami błękitną wodę, wlecze za sobą bruzdę wodną i zanurza w niej burtę oraz odbicie czerwonej flagi z białym krzyżem. Zadowoleni z dnia, machaliśmy do siebie chusteczkami. Nigdy nie widziałem go w tak dobrej formie. Często potem myślałem o tym doskonałym popołudniu, co wiąże z żalem, jaki odczuwam wskutek niewykorzystania pobytów Rilkego w Paryżu, aby z nim więcej porozmawiać. Mój czas był ograniczony, a mieszkaliśmy bardzo daleko od siebie. Coś nas do siebie przyciągało, choć zarazem dzieliła nas niezwykła różnica, wręcz transcendentna, o której już mówiłem. Ostatecznie jednak byliśmy obaj „dobrymi Europejczykami”.

To dlatego myślenie o nim, myślenie o nas jest dla mnie w tej chwili myśleniem o tak wielu różnych rzeczach. Na przykład o tym, ile z przyszłości było w tym, co minęło, ile z przeszłości będzie w tym, co nadejdzie.

P. Valéry, *Souvenir de Rilke*, Le Figaro littéraire, 16 grudnia 1941

André Gide

O Rilkiem powiedziano już wszystko. Każdy, kto miał z nim kontakt, był pod urokiem jego wdzięku i delikatności; wobec każdego bez wyjątku był zawsze zupełnie naturalny. Nigdy nie obnosił się z tym, że jest poetą, ale też się tego nie wstydził. Pozwalał promieniować łagodnie w swym spojrzeniu i płynąć cicho w swych najdrobniejszych słowach tryskającemu skarbowi, którego był piastunem i którego rozślawienie poczytywał sobie za misję. Przyglądam się wspomnieniom tej przyjaźni, która sięga daleko wstecz i której nic nigdy nie kłopotowało: spaceru po Ogrodzie Luksemburskim, długie rozmowy, w których nieustrudzenie wsłuchiwaaliśmy się nawzajem w przeciągłe echo coraz to głębszej sympatii... Cóż mógłbym o tym wszystkim opowiedzieć? Rilke jest jedną z tych istot, które kochałem najbardziej i o których mam najmniej do powiedzenia. Oddał się całkowicie swej pracy, a kiedy ponownie otwieram którąś z jego książek, znów słyszę jego głos, widzę jego gesty, czuję jego spojrzenie i nie potrafię już nadal wierzyć, że nie żyje. Jego wszechogarniające współczucie: wciąż wypowiada je w swych wierszach; jednak miłość, którą one w nas budzą, będzie odtąd zmartwiona tym, że nie jest już w stanie go osiągnąć.

[9 lutego 1927]

A. Gide, *Ein Brief*, Das Inselschiff 1927 nr 2

W pewnym starym numerze Le Figaro, znalezionym na stole w hotelowym salonie, trafiłem na interesujący artykuł Edmonda Jaloux, który mówi o Rainerze Marii Rilkiem i cierpliwości, z jaką mozolnie układał swe wiersze. Może to być prawda w odniesieniu do Elegii Duinejskich; przypominam sobie jednak, jak Rilke mówił, że większość

jego wierszy jest napisana wraz z pociągnięciem pióra czy, ściśle rzecz biorąc, ołówka, w małym notesie, który nosił podczas swych spacerów; później przepisywał je, najczęściej bez żadnych poprawek. Pokazał mi taki zeszyt, który miał przy sobie (przybył na obiad w Villa Montmorency), były w nim nabazgrane liczne wiersze, „zaimprovizowane”, jak to ujął, „na ławce w Ogrodzie Luksemburskim”. Nie dostrzegłem ani jednego skreślenia.

[4 lipca 1933]

Nie znam żadnego portretu, który by go wiernie przedstawiał. Jest tak, jakby rysy jego twarzy, cała materia jego istoty zdawały się przeniknięte duchowością, której żaden pędzel nie jest w stanie oddać. Można by rzec, że nigdy nie był w pełni obecny w swym ciele. Czuło się go szczególnie gdzie indziej, w tajemniczej dziedzinie bardziej dłań rzeczywistej niż to, co my nazywamy rzeczywistością. I tylko w tej dziedzinie można było naprawdę się z nim spotkać. Uczucie, jakim obdarzał, było czymś wspaniałym. Swoisty umiar powściągał jego wypowiedzi i trzeba było go rozumieć za pośrednictwem półsłówek; on też pojmował wszystko w pół słowa. To, co mówi się o nim, jak się go określa, wydaje się na poły fałszywe, na poły okrutne, niczym to, co można by powiedzieć o Arielu.

[20 października 1941]

R. M. Rilke, A. Gide, *Correspondance 1909-1926*, Paris 1952, s. 254-256

Stefan Zweig

Patrząc wstecz na moje życie, widzę niewiele rzeczy cenniejszych nad to, że była mi dana możliwość przebywania w pobliżu ludzi, których darzyłem cziłą, niejednokrotnie przyjmującą postać długotrwałej przyjaźni. Spośród nich być może żaden nie prowadził życia tak cichego, tajemniczego i niepozornego jak Rilke. Nie było to jednak dobrowolne, wymuszone, kapłańskie, teatralne odosobnienie, jakie celebrował w Niemczech Stefan George; cisza narastała, by tak rzec, wokół niego, gdziekolwiek zmierzał lub przebywał. Unikał wszelkiego hałasu, w tym także własnej sławy, która, jak pięknie to niegdyś ujął, nie jest niczym innym jak tylko “sumą wszystkich nieporozumień, jakie nazbierały się wokół jego imienia”, wskutek czego nadchodząca fala próżnej ciekawości dotknęła samego tylko imienia, lecz nie jego osoby. Rilke był trudno osiągalny. Nie miał domu, biura, żadnego stałego adresu, pod którym można go było zastać. Był w nieustannej podróży i nikt, nawet on sam nie wiedział, w jakim kierunku podąży. Dla jego nadzwyczaj wrażliwej duszy wszelkie podejmowanie decyzji, planowanie i obwieszczanie było czymś nieznośnym. Można go było spotkać tylko przez przypadek. Na przykład stojąc we włoskiej galerii czuło się nagle, nie wiadomo skąd, lekki, przyjazny uśmiech naprzeciw siebie. Dopiero potem rozpoznawało się błękitne oczy, które rozświetlały wewnętrznym światłem jego niepozorne oblicze. Jednak to właśnie ta niepozorność stanowiła najgłębszy sekret jego istoty. Tysiące ludzi mogło minąć tego młodzieńca wraz z jego melancholijnie opadającym jasnym wąsem i nie wyróżniającymi się niczym szczególnym słowiańskimi rysami twarzy, nie podejrzewając nawet, że jest on poetą i to jednym z największych w naszym stuleciu. Dopiero przy bliższym obcowaniu ujawniała się jego osobliwość, niezwykły charakter jego istoty. Był nieopisanie delikatny w obyciu, w rozmowie. Gdy wchodził do pokoju pełnego ludzi, czynił to tak cicho, że nikt prawie nie spostrzegał jego obecności. Potem siedział cicho i

nasłuchiwał, czasem tylko mimowolnie podnosząc czoło, gdy coś zdawało się go zajmować, a ilekroć sam zaczynał mówić, zawsze robił to bez pozy i nadmiernej emfazy. Gdy mówił, czynił to naturalnie i prosto, jak matka, która opowiada bajkę dziecku, i z równą miłością.

Wszystko, co wulgarne, było dlań nie do zniesienia, a choć żył w trudnych warunkach, jego strój zawsze świadczył o trosce, czystości i dobrym guście

Słuchanie go było czymś cudownym, nawet najbardziej nieistotny temat nabierał w jego ujęciu kształtów i doniosłości. Gdy tylko jednak wyczuł, że staje się

przedmiotem uwagi większego kręgu słuchaczy, natychmiast przerywał i na powrót popadał w milczące, uważne nasłuchiwanie. Każdy jego ruch, każdy gest był pełen delikatności. Nawet gdy śmiał się, była to tylko sugestia dźwięku. Wyciszenie było dlań koniecznością. Nic nie drażniło go tak bardzo jak hałas, zaś w dziedzinie uczuć – wszelka przemoc. “Wyczerpują mnie ludzie, którzy swoje odczucia wypluwają jak krew”, powiedział mi pewnego razu, “więc Rosjan zażywam tak jak nalewki, wyłącznie w małych dawkach”. W nie mniejszym stopniu niż umiar w postępowaniu nieomal fizyczną koniecznością były dlań porządek, czystość i cisza. Przymusowa jazda w przepełnionym tramwaju czy pobyt w hałaśliwym lokalu wyprowadzały go z równowagi na wiele godzin. Wszystko, co wulgarne, było dlań nie do zniesienia, a choć żył w trudnych warunkach, jego strój zawsze świadczył o trosce, czystości i dobrym guście. Zarazem stanowił przemyślany, poetycki majstersztyk bezpretensjonalności, zawsze z niepozornym, choć osobistym akcentem, jakimś drobnym dodatkiem, z którego cieszył się skrycie, na przykład cienką srebrną bransoletą na nadgarstku. Jego

poczucie estetycznej perfekcji i symetrii sięgało najbardziej osobistych rejonów. Pewnego razu obserwowałem go w jego mieszkaniu przed wyjazdem, gdy pakował walizki — odrzucił moją pomoc jako niekompetentną. Czynił to tak, jakby układał mozaikę. Każdy pojedynczy przedmiot układał z czułością w starannie przygotowanym miejscu. Błuznierstwem byłoby naruszać ten harmonijny niczym kompozycja kwiatowa układ interwencją pomocnej dłoni. To elementarne poczucie piękna towarzyszyło mu w najdrobniejszych szczegółach. Nie tylko pisał swe manuskrypty starannie, na najpiękniejszym papierze, kaligraficznie wyczelowanym pismem, tak iż jeden wiersz był tak oddalony od drugiego, jak gdyby odmierzał je za pomocą linijki, ale nawet do listów zupełnie nieistotnych dobierał wytworny papier, a kaligraficzne pismo regularnie, czysto i krągło wypełniało przestrzeń. Nigdy, nawet w najbardziej pośpiesznych wiadomościach, nie pozwalał sobie na skreślenie ani jednego słowa, a gdykolwiek zdanie lub fraza zdawały mu się niezadowolające, przepisywał cały list od nowa z zadziwiającą cierpliwością. Nigdy nie pozwolił, aby spod jego rąk wyszło coś niedoskonałego.

To wyciszenie i jednoczesne skupienie jego istoty wywierały wpływ na każdego, kto się doń zbliżał. Tak jak nie można było pomyśleć sobie Rilkego wzburzonym, tak też niepodobieństwem było, aby ktokolwiek w jego obecności nie utracił swej hałaśliwości i arogancji wskutek wibracji bijącej z jego spokoju. Jego postawa promieniowała bowiem niczym tajemniczo oddziaływująca, wychowawcza siła moralna. Po dłuższej rozmowie z nim było się niezdolnym do wszelkiej wulgarności przez wiele godzin a nawet dni. Z drugiej strony ta nieustanna powściągliwość jego charakteru, ta niechęć do oddawania się w pełni stawiała oczywiście dość prędko granicę każdej serdeczności; niewielu, jak sądzę, mogło się pochwalić tym, iż byli rzeczywiście “przyjaciółmi” Rilkego. W sześciu opublikowanych tomach jego listów niemal wcale

nie można znaleźć takiego zwrotu, a braterskie, zażyłe “ty” nie przysługiwało nikomu od czasu lat szkolnych. Jego niezwykła wrażliwość nie była w stanie znieść, aby ktokolwiek lub cokolwiek zanadto zbliżał się doń, w szczególności każda silna męskość wzbudzała w nim wręcz fizyczny dyskomfort. Łatwiej było mu oddawać się rozmowom z kobietami. Pisywał do nich często i chętnie, a także był o wiele bardziej swobodny w ich obecności. Być może to brak gardłowych dźwięków w ich głosach był dla niego dobrodziejstwem, albowiem szczególnie razła go szorstkość brzmienia. Wciąż jeszcze widzę go naprzeciw siebie, jak rozmawia z arystokratą wysokiego rodu, zupełnie skulony, ze ściśniętymi ramionami, nie podnosząc nawet oczu, aby nie zdradzić, jak bardzo cierpi fizycznie za sprawą jego uciążliwego falsetu. Jak miło jednak było z nim obcować, gdy był do kogoś przychylnie usposobiony! Wtedy czuło się jego wewnętrzną dobroć, jakkolwiek powściągliwy by nie był w słowach i gestach, niczym ogrzewającą, leczniczą emanację wnioskującą aż do wnętrza duszy.

Zazwyczaj nieśmiały i powściągliwy, Rilke otwierał się najbardziej w Paryżu, w tym mieście otwierającym serca, być może dlatego, że tutaj jego dzieło i jego imię wciąż jeszcze pozostawały nieznane, a on czuł się najswobodniej i najszczęśliwiej pozostając kimś anonimowym. Odwiedzałem go tam w dwóch różnych wynajmowanych pokojach. Oba były proste i pozbawione ozdób, jednak dzięki jego przemożnemu zmysłowi piękna nabrały prędko stylu i spokoju. Nigdy nie mógł mieszkać w potężnej kamienicy z hałaśliwymi sąsiadami, o wiele bardziej wolał starą, nawet mniej wygodną, lecz taką, w której mógł się zadomowić. Gdziekolwiek się znalazł, poczucie porządku sprawiało, że prędko urządza wnętrze w sposób sensowny i zgodny z własną naturą. Zawsze otaczało go bardzo niewiele przedmiotów, jednak w wazonie lub w donicy zawsze lśniły kwiaty, być może prezent od kobiet, być może z czułością przyniesione przez niego samego. Na ścianach

zawsze widniały książki, pięknie oprawione lub pieczołowicie obłożone papierem, albowiem kochał on książki niczym nieme zwierzęta. Na biurku leżały równo ułożone ołówki i pióra oraz prostokątne arkusze niezapisanego papieru. Rosyjska ikona, katolicki krucyfik, które, jak sędzę, towarzyszyły mu w jego podróżach, nadawały pracowni nieco religijny charakter, choć jego religijność nie była związana z żadnym określonym wyznaniem. Każdy drobiazg wyglądał, jakby był troskliwie dobrany i czule przechowywany. Gdy ktoś pożyczył mu książkę, której nie znał, dostawał ją z powrotem starannie owiniętą papierem bibułkowym, związaną kolorową wstążką niczym prezent świąteczny. Wciąż pamiętam, jak wręczył mi niczym bezcenny dar rękopis Pieśni o miłości i śmierci, po dziś dzień zachowałem wstążkę, którą był owinięty. Najpiękniej jednak było spacerować wraz z Rilkiem po Paryżu, znaczyło to bowiem dostrzegać także rzeczy najbardziej niepozorne niejako rozjaśnionym okiem; zwracał uwagę na każdy szczegół, wypowiadał na głos nazwy z szyldów, gdy zdawały mu się rytmiczne. Poznanie Paryża aż do najgłębszych zakątków i zakamarków było jego namiętnością, chyba jedyną, jaką u niego dostrzegłem. Pewnego razu, gdy spotkaliśmy się w wspólnych przyjaciół, opowiedziałem mu, że dzień wcześniej dotarłem przypadkiem do starej „Barrière” na cmentarzu Picpus, gdzie pochowano ostatnie ofiary gilotyny, pośród nich André Cheniera; opisałem mu tę małą, wzruszającą łąkę z rozsianymi po niej grobami, które rzadko oglądają cudzoziemcy. W drodze powrotnej na jednej z ulic przez otwarte drzwi zobaczyłem klasztor, a w nim beginki, które w ciszy, bez słów krążyły z różańcem w ręku niczym w pobożnym śnie. Był to jeden z nielicznych przypadków, gdy ten zawsze cichy i opanowany człowiek okazał niecierpliwość: musiał natychmiast zobaczyć grób André Cheniera oraz klasztor. Zapytał, czy zechcę go tam zaprowadzić. Wyruszyliśmy od razu następnego dnia. Stał w swojego rodzaju milczącym uniesieniu przed tym opuszczonym cmentarzem i nazwał go „najliryczniejszym w Paryżu”. Wszelako w drodze powrotnej drzwi do klasztoru okazały się

zamknięte. Miałem wówczas sposobność sprawdzić jego cierpliwość, którą w życiu opanował w nie mniejszym stopniu niż w swych dziełach. „Zaczekajmy na sposobność”, powiedział. Z lekko opuszczoną głową stał tak, aby móc dostrzec furtę, kiedy się otworzy. Czekaliśmy jakieś dwadzieścia minut. Wtedy wyszła na ulicę siostra zakonna i zadzwoniła. „Teraz”, szepnął cicho z podnieceniem. Siostra jednak zdała sobie sprawę z jego milczącego oczekiwania — wspomniałem już, że można było wyczuć w nim wszystko niejako w atmosferze, na odległość — podeszła więc do niego i zapytała, czy na kogoś czeka. Uśmiechnął się do niej swym łagodnym uśmiechem, którym natychmiast pozyskał zaufanie, i powiedział otwarcie, że bardzo chciałby obejrzeć dziedziniec klasztoru. Siostra odpowiedziała z uśmiechem, że bardzo jej przykro, ale nie może go wpuścić, jednak radzi mu, aby udał się do domku ogrodnika po sąsiedzku, z którego okna na piętrze będzie miał znakomity widok. W ten sposób, jak zazwyczaj, zostało mu dane także i to.

S. Zweig, *Die Welt von Gestern: Erinnerungen eines Europäers*, Stockholm 1942 (fragment)

Rudolf Kassner

Czerwiec 1914. Byliśmy obaj gośćmi w Duino, zamku nad Morzem Adriatyckim, gdzie Rilke trzy lata wcześniej napisał dwie pierwsze ze swych *Elegii Duinejskich*. W międzyczasie zamek został zniszczony włoskimi granatami, a następnie odbudowany przez swego właściciela. Pewnego popołudnia w tak zwanym ogrodzie zoologicznym, grupie otoczonych murem dębów ostrolistnych i krzewów wawrzynu, z których gałęzi od czasu do czasu wyleciał jakiś dziki gołąb, zaczęliśmy

rozmawiać o Chrystusie. Ściśle rzecz biorąc na postaci Chrystusa jako Bogocłowieka i pośrednika raczej niż męczennika z Ewangelii. To, na co Rilke otworzył mi wówczas oczy, zdawało się istotne także dla niego samego. Nie chciał żadnego, jak twierdził, pośrednika między sobą a Bogiem, zresztą żadnego nie potrafił bynajmniej bynajmniej dostrzec; pośrednik powstrzymywałby go jedynie w dotarciu i dopuszczeniu do Boga, Chrystus był dlań przeszkodą...

Jeden z jego wierszy traktuje o Jezusie: *Ogrojec* (z *Wierszy nowych*):

Sam pośród ludzi w trosce i w żałobie,
w której im ulżyć chciałem dzięki Tobie,
którego nie ma. O, jakże się wstydzę.

(przeł. A. Pomorski)

Tak, był w stanie kochać zawiedzionego i zwątpionego Jezusa z “czołem pełnym kurzu”, lecz nie tego, którego apostoł nazywa “królem życia”, tego, który za sprawą ofiary stał się Panem, Miarą i Mistrzem.

Rilke chciał tylko Ojca. Ojczyzna Rilkego była pod każdym względem światem Ojca, światem dziecka, gier chłopców i dziewcząt, winy chłopców i dziewcząt. Nie było żadnej innej winy niż taka:

Chłopcy, wydarci niespodziewanie z gór
dzieciństwa, opadali bojaźliwie
na dno owymi bawiąc się rzeczami

zanim upadek czucia ich pozbawi

(*Grobby heter*, przeł. A. Pomorski)

Tak więc poezja Rilkego (aż do *Elegii Duinejskich*) była wyznaniem wiary w Królestwo Ojca ze świata dzieciństwa i chłopięstwa. Wśród jego najwcześniejszych dzieł znajduje się wprawdzie dramat, lecz Rilke w najmniejszym stopniu nie był dramaturgiem i nigdy później nie usiłował już pisać dramatu ze względu na formę. Prawdziwy powód jest jednak następujący: musiałby w jakiś sposób skonfrontować się ze światem Syna, ze światem winy, odpowiedzialności i wolności.

Pewnego razu powiedział mi w uniesieniu, gdy oskarżyłem go o pobłażliwość wobec pewnego wiersza, że nie ma zamiaru krytykować, zupełnie nie zależy mu na tym. W istocie nie było u niego tego tak męskiego, właściwego mężczyznom rozdziału między sądem a uczuciem. Zupełnie brakowało mu zrozumienia dla mężczyzny. Mężczyzna pozostawał intruzem w świecie Rilkego, swojsko czuli się w nim wyłącznie dzieci, kobiety i starcy. A w świecie dzieci, kobiet i starców, w królestwie Ojca wspomniany konflikt jest pozbawiony sensu.

Była to jesień 1910 w Paryżu. Pisałem wówczas moje Pierwiastki ludzkiej wielkości, w których po raz pierwszy odważyłem się w stosowny sposób powiedzieć coś o Chrystusie. Rilke i ja spotykaliśmy się wówczas codziennie od 5 po południu aż do późnej nocy. Pewnego dnia po rozmowie o nim i jego dziele, gdy wróciłem do domu, zanotowałem w notatniku zdanie: „Droga od wewnętrzności do

wielkości prowadzi przez ofiarę”. Gdy Rilke przeczytał je później w „Zdaniach jogina”, napisał do mnie, cytując je: „Wypisałem sobie to zdanie. Jest ono zarazem zwrócone ku mnie, jak i przeciw mnie”.

On nie chciał ofiary, czy raczej: chciał zapewne ofiary Starego Przymierza (owocu pola, baranka lub czegokolwiek innego z rzeczy drogich człowiekowi), lecz nie Nowego. Nie chciał, abyśmy osiągnęli miarę dopiero za sprawą ofiary, przez zwrot. O tym traktuje poświęcona mi Ósma Elegia, obracająca się wokół pojęcia zwrotu, jakie napotkał w mych książkach. Zwierzę nie dokonuje zwrotu, zwierzę żyje w Królestwie Ojca. Wielkość Królestwa Ojca była jeszcze w całości zawarta w bycie, to prawda. Wraz z Synem wielkość została uwolniona z bytu. Syn jest wielki, Ojciec po prostu jest. Rilke był nie bez urazy w stosunku do Syna. Przykłady tego można znaleźć w drugim tomie Nowych wierszy.

W sporze między stylem a usposobieniem, będącym też walką, którą toczy Syn, Rilke się zdecydował na styl. Żaden z wielkich niemieckich poetów nie był bardziej niemieszczkański niż on. I tylko w tej mierze, w jakiej niemiecki duch jest pod każdym względem najbardziej mieszczańskim duchem w Europie, Rilke był antyniemiecki. Pod żadnym innym względem. Kochał Francję, ponieważ dostrzegał w niej styl wyższego rodzaju. Byłoby błędem dostrzegać w miłości Rilkego do Francji wyłącznie niemiecką miłość do tego, co obce. Styl angielski i język angielski zawsze były dlań obce i nic nie skłoniło go do wyjazdu do Londynu. Amerykanin wydawał mu się potworny; Włoch w zasadzie nie całkowicie klarowny i dlatego też niezbyt istotny. Usposobienie nie może zastąpić brakującego stylu. Styl poprzedza usposobienie. Przeciwstawiano Rilkego Richardowi Dehmelowi. Jednak podstawą wszelkiego przeciwstawiania jest równorzędność. Wysoce przecenione

dzieło Richarda Dehmela jest pełne usposobienia, pełne – jak dla mnie – tytanicznego, może trochę tytaniczno-akrobatycznego usposobienia, jednak pozbawione stylu.

*Asceza Rilkego nie była ascezą
świata ducha, ona też miała
być rozkoszą. Byłaby to więc
dusza, świat ojca, świat matki*

Syn nie był obecny
na darmo, nie
możemy go pominąć.
Bez względu na to,
jak chwalebny był
jego początek, świat
bez wielkości staje

się ostatecznie sceną odosobnionych, samotnych w sensie młodego Maltego, dziwaków, ludzi z tikiem (duszy). Istnieją dwa rodzaje humoru: Sterne'a, Jean Paula, Kierkegarda, humor ludzi ducha. Dostrzega on obie strony rzeczy. Ci, którzy patrzą w ten sposób, żyją mimo wszystko w świecie Syna. Bardzo osobliwy humor Rilkego był innego rodzaju: ze świata Ojca. Tu rzeczy nabierają tiku, stają się nieco śmieszne, gdy się starzeją. Zostają zniekształcone. Za sprawą nadmiaru lub niedostatku rozkoszy. Za sprawą poniekąd niebezpiecznej samotności rozkoszy. Istnieje bowiem rozłam między byciem, byciem dzieckiem a rozkoszą. Asceza Rilkego nie była ascezą świata ducha, ona też miała być rozkoszą. Byłaby to więc dusza, świat ojca, świat matki. Wiele lat temu przyzwyczał się do chodzenia boso. I to przez długi czas. Myślę, że było to u Kneippa w Bad Wörishofen. Rozkosz polegałaby na tym, że gdy dotykał ziemi gołymi stopami, wzrastał na niej niejako nowy sens. Tak o tym opowiadał.

Jako dziecko Rilke dorastał wśród ludzi ekscentrycznych. W Pradze, gdzie ekscentryk jest endemiczny. Kiedy po raz ostatni byłem u niego w Muzot w 1923 roku, namawiałem go, aby spisał wspomnienia z

dzieciństwa. Wkrótce ludzie będą w posiadaniu przytłaczającej liczby pięknych listów, którymi obdarowywał przyjaciół. Od wielu już lat cała jego twórczość polega na pisaniu takich listów. Obawiam się jednak, że jego wspomnienia z dzieciństwa nie zostały spisane. W ostatnich latach to jego francuskie wiersze, czy raczej sam fakt, że teraz pisze je po francusku, zanadto go zajmowały. Pamiętam wspaniałą historię z jego dzieciństwa i chciałbym ją w tym miejscu powtórzyć najlepiej, jak tylko potrafię. Jego przyjaciele wkrótce dowiedzą się, że on, najbardziej niezrównany gawędziarz ze wszystkich, jakich znałem, opowiedział coś takiego. W Pradze mieszkał pewien podstarzały wuj, kawaler. Miał on jedną namiętność, niczym tik duszy: ptaki. Cały jeden pokój był ich pełen. W określony dzień tygodnia mały Rilke mógł odwiedzać swojego wuja. W południe. Wraz z kuzynką. Wuj wtenczas wychodził z ptaszarni, która sąsiadowała z jadalnią. We włosach i w brodzie miał powtykane pióra, cały jego garnitur był nimi pokryty. Nikomu nie było wolno wchodzić do ptaszarni. Gdy wuj wstawał podczas kolacji, aby zanieść ptakom małą kość drobiową lub kawałek owocu, przez otwarte drzwi można było słyszeć śpiew, nawoływanie i krzyki wielu, wielu ptaków. A jednak pewnego dnia wszystko to nagle się skończyło. Żadnych więcej klatek, żadnego śpiewu i pisku, żadnych piór w brodzie i we włosach wuja. Miejsce ptaków zajęła rudowłosa, piegowata, pstrokato ubrana osoba o donośnym głosie. Wszystkie te ptaki, których nikt nigdy nie widział, przeistoczyły się w kobietę, która odtąd nigdy nie opuściła mojego wuja i ostatecznie go pochowała, podsumował Rilke.

Tak samo jak nie był on w ścisłym sensie człowiekiem religijnym, tak też nie był człowiekiem współczucia, czy w ogóle kimś z serca szczególnie usposobionym społecznie. Szczególnie jeśli chodzi o religijność, wyznawał on całkowicie błędne poglądy. Otwarcie przyznaję, że idea „bliźniego Boga” jest dla mnie nie do przyjęcia. Nie

kochał też ubogich ze względu na syna, ale dlatego, że wykraczali poza zwyczajność, ponieważ nie byli mieszczkańscy. Ubóstwo i bogactwo znajdują w sobie nawzajem swój sens. W Królestwie Ojca. To Syn je ze sobą przemieszał. Wciąż słyszę jego śmiech, ten osobliwy śmiech jego ogromnych ust, który był jak odwrotność ssania, przed którym wszystko pierzchało, gdy na stacji kolejowej w Brig, gdzie mi towarzyszył, powiedziałem mu: "Rilke, jeśli o mnie chodzi, znalazłem pewne osobliwe potwierdzenie Twojego świata, Twojego kończącego się świata: otóż spotkałem w mym życiu tak wiele wspaniałych starych panien i tak niewiarygodnie wiele głupich matek. Doprawdy wygląda na to, że wszystkie mądre panny z przypowieści stały się starymi pannami, a wszystkie głupie stały się matkami. Zarazem jest to bardzo dobitny dowód na to, że zostaliśmy ostatecznie wygnani ze świata matriarchatu Bachofena."

Rilke zawsze wyrażał swoje szczególne upodobanie do istoty, którą świat, świat mężczyzny, nazywa starą panną. Wyrażał je nie tyle z litości w niejasnym sensie „strzelistego” mężczyzny, ale dlatego, że odczuwał kobietę z perspektywy samej kobiety. Dlatego nie istniała dla niego tak zwana piękna kobieta. Ona także była wytworem „strzelistego”, „dyletanckiego” mężczyzny, który w nią w ogóle nie wnika lub czyni to tylko w akcie strzelistym. „Zepsuci jesteśmy łatwym używaniem”, powiada Rilke w Maltem, „jak wszelacy dyletanci, i stoimy w odorze maestrii. A gdyby nam tak pogardzić sukcesami, gdyby tak zacząć, od początku zupełnie, uczyć się pracy Miłości, która zawsze za nas była czyniona?” (przeł. W. Hulewicz). Tylko kobiety wciąż były jeszcze w stanie okazywać miłość.

Właśnie dlatego, że wszystko jest miłością, a cała „wielkość” jest w miłości i nigdy poza nią, jest może u Rilkego wiele z ozdoby, dekoracji, ornamentu i zabawy, jednak nic a nic z banału. Stąd jednolitość całości. Rilke był poetą, nawet kiedy po prostu mył ręce. Jedynym zupełnie przerażającym wspomnieniem z jego życia były lata spędzone w szkole kadetów w St. Pölten. Dla niego wojsko było diabelską sztampą, światem zredukowanym do sztampy.

Wykształcenie Rilkego było zaś zgoła niebanalne. Wciąż widzę zdziwienie na wojskowej twarzy tajnego radcy Bodego, gdy Rilke wyznał mu w Duino, że nigdy nie czytał Hamleta. To, co wielu chciałoby uznać za estetyzm jego dzieła, nie jest brakiem wielkości, lecz brakiem stereotypu wielkości. Innymi słowy: jego prawdziwą wielkością była jedność formy i treści. Ale chciał wykroczyć poza nią. Ku nowej „wielkości”, którą zgodnie z całą swą naturą musiał postrzegać nie jako wielkość bohatera, lecz jako mit, jako wielkość mityczności. On także widział w późnych wierszach Hölderlina przewyciężenie sztuki przez sztukę, przez nowy mit. Nieśmiertelne Elegie Duinejskie są próbą pójścia tą samą drogą: drogą przewyciężenia sztuki przez sztukę.

R. Kassner, *Erinnerungen an Rainer Maria Rilke* (1926), w: tegoż, *Rilke*, Pfullingen 1976, s. 5-11. Pierwodruk: Frankfurter Zeitung, 6 stycznia 1927

Przełożył Andrzej Serafin



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego